

Adam Benedykt Bisping

Kamczatka



Tomek wielokrotnie namawiał nas na ten wyjazd. Pojechaliśmy w 5 osób: Tomek, mój kuzyn – Jan oraz Jarek, Darek i ja. Organizatorem było niemieckie biuro „Russian Tours” Edwarda Schlönninga. W trakcie przygotowań do wyprawy, 10 kwietnia rano, dowiadujemy się o katastrofie prezydenckiego samolotu. Zastanawiamy się czy lecieć, ale nasz lot miał się odbyć ponad dwa tygodnie po tej katastrofie, więc decydujemy się na wyjazd. Wylot z Warszawy do Moskwy, tam zmiana terminala na lot

do Pietropawłowska Kamczackiego. Na lotnisku spotykamy Polaka mieszkającego na stałe w Moskwie, pana Mirosława Medyńskiego, który jest organizatorem polowań w Rosji i ma firmę, która preparuje trofea myśliwskie i wysyła je, po załatwieniu wszelkich dokumentów, do Polski (nie wiemy od kogo się dowiedział, że będziemy na lotnisku i że możemy być zainteresowani jego usługami).

Po 10 godzinach lotu lądujemy w Pietropawłowsku Kamczackim. To pięknie położone wokół góry

z czynnymi wulkanami portowe miasto. Przez wiele lat należało do tzw. miast zamkniętych z uwagi na istniejące tam bazy wojskowe. Niestety nie ma ono starówki, tylko same bloki powojenne. Dzięki Tomkowi, który był na Kamczatce już kilka razy (strzelił rekordowego łosia – do tej pory rekord świata), jedziemy na targ i kupujemy kilka wiader kawioru, zarówno czarnego, jak i czerwonego, śmietany, kilka kilo suszonych ryb, dwieście jaj kurzych, no i dla dezynfekcji jakieś tam kartony płynu

„dezynfekcyjnego”. Zakupy te, jak się później okazało, uratowały nas chyba od głodu.

Na drugi dzień rano wyjazd do Kozierowska, jazda prawie cały dzień busem i nagle po 10 godzinach, na drodze czeka na nas helikopter. Przeładujemy cały nasz sprzęt myśliwski, ubraniowy i jedzeniowy i okazuje się, że lecimy dwie godziny do bazy około 300 km od Kozierowska. Baza, w której mamy być ponad 10 dni, to cztery drewniane budynki bez żadnego ogrodzenia i bez dostępu dla ludzi. Tylko niedźwiedzie mogą się tam dostać. Pierwszy budynek to królestwo Luby – kucharki, która niestety nie umie gotować. Koledzy uważali, że lepiej samemu zrobić jajecznicę niż żeby zrobiła ją Luba, ponieważ w jej wykonaniu będzie po prostu niejadalna. Tam jedliśmy na szczęście nasz kawior i ryby, dezynfekowaliśmy ręce i gardło po każdym posiłku i dlatego przeżyliśmy. Drugi budynek, to miejsce spania Weroniki – przedstawiciela biura polowań z Pietropawłowska Kamczackiego i Wiery, teoretycznie tłumacza z rosyjskiego na niemiecki, bo byliśmy jako grupa niemiecka. Trzeci, to lokum naszego podprowadzającego oraz Saszy, który obsługiwał całą bazę. Budynek czwarty to nasza sypialnia i miejsce na umycie rąk i zębów, z nowoczesnym kranem i kanalizacją – to znaczy wiadrem z gwoździem, po wciśnięciu którego sączyła się woda, o ile była w wiadrze. Za obozem była sławojka. Była też bania, do której chodziliśmy codziennie – była to nasza kąpiel i relaks. W pobliżu bani stał czołg z demobilu. Służył on nie tylko do poruszania się po terenie, ale był także miejscem noclegowym Rusłana.

Pierwszy dzień to naturalnie strzelnica – wszyscy przystrzeliwaliśmy naszą broń. Potem pierwsze wyjazdy. Ja polowałem z Rusłanem, ale wyjazdy były w czwórkę, żeby móc się wspierać w razie jakiejś awarii, bo w innym przypadku byłby na pewno duży problem – brak jakiejkolwiek łączności. Nawet telefon satelitarny nie najlepiej działał. Podróżowaliśmy w sankach, przyczepionych do skuterów śnieżnych, co było dla mnie dużym dyskomfortem, bo spaliny waliły mi prosto w twarz. Jeździłem ze sztucerem w jednej ręce i z aparatem fotograficznym w drugiej. Bardzo bałem się, aby tych sprzętów nie zgubić.

Pierwsze myśliwskie spotkanie, to wjazd na tokujące głuszce skalne! Na moją prośbę (bo nie mogłem się oprzeć), strzeliłem ze sztucera i tak pozyskałem pierwszego głuszca na Kamczatce. Niestety Luba nie zrozumiała, że on nie jest strzelony na rosół i że nie wolno go skubać, i gdy wróciłem następnego dnia, to już nie było mojego głuszca, tylko fatalny rosół, a jego pióra zostały spalone w ognisku.

Następne dni, to spotkania z niedźwiedziami.



Gdy zobaczyłem pierwszego, to złapałem aparat fotograficzny i zacząłem robić zdjęcia. Rusłan mi tylko krzyczał „malenkij nie strielaj”. Skuter jechał po oceanie śniegu, chyba z 60 km na godzinę, a ja za nim w saneczkach, bez żadnych możliwości komunikacji z moim szoferem. Nagle widzę, że przede mną skuter leci w dół, w niewidoczne zapadlisko w śniegu, a ja wylatuję jak z procy w powietrze i lecę jak piłeczka, trzymając w jednej ręce sztucer, a w drugiej aparat. Wpadam do śniegu po szyję. Z doświadczenia, którego nabyłem jeżdżąc na nartach wiem, że gdy leci lawina śniegu, to trzeba natychmiast się wykopywać, ponieważ śnieg z lawiny szybko zamarza i maleją szanse na wyjście. Zacząłem więc walczyć ze śniegiem, chcąc jak najszybciej wydostać się na jego powierzchnię. Krzyczę: „Rusłan dawaj ruku, bo inaczej Cię zastrzelę”. Wyciągam nogę i tracę buta, wkopuję się więc znowu po niego i walczę ze śniegiem. Później Rusłan już mi bardzo pomógł i mogliśmy kontynuować polowanie.

Pierwszego niedźwiedzia strzelił Tomek. Po trafieniu na trop niedźwiedzia gnaliśmy za nim przez godzinę. W pewnym momencie Tomek ze swoim podprowadzającym zajechał mu drogę, wyskoczył z sań i strzelił, ale niedźwiedź jest bardzo mocny, więc musieliśmy go jeszcze prawie trzysta metrów dochodzić. Tomek znowu podjechał i dostrzelił go.

Było to wielkie przeżycie. Ja miałem swoją przygodę z niedźwiedziem w następnym dniu, z tym, że po moim strzale niedźwiedź zrolował jak zając. Moja rozpacz była po strzale. Wówczas okazało się, że podprowadzający niedźwiedzia na miejscu biela, zabierając tylko skórę, głowę, penisa oraz woreczek z żółcią, który podobno w Chinach ma wartość około 5000 USD. Natomiast takie piękne





mięso zostawiają na miejscu, ponieważ najbliższy mikroskop jest około 500 km od nas i nie można zbadać mięsa na obecność włośni, przez co jest niekonsumpcyjne. Wtedy serce bolało mnie bardzo i żałowałem, że jednak pozyskałem go niepotrzebnie. Lepiej poczułem się następnego dnia, gdy na miejscu, gdzie go zostawiliśmy zobaczyłem, że został właściwie całkowicie zjedzony przez inne zwierzęta!!!

Podczas dziesięciodniowego pobytu prowadziliśmy różne rozmowy. Między innymi tłumaczka, która chyba była tam służbowo dwukrotnie, wciąż wypytывała, czym zajmujemy się w Polsce. Powiedziałem jej, że ja jestem generałem Wojska Polskiego, mój jeden kolega jest ministrem w rządzie, drugi jest znanym polskim hrabią, a pozostali bogatymi przemysłowcami. Więcej pytań mi już nie zadawała, tylko rano witała mnie zawsze słowami „dzień dobry Panie generale”. W dniu 9 maja powiedziałem jej, że dla uczczenia święta niepodległości powinniśmy urządzić pochód i wywieść narodową flagę Rosji, co Sasza wykonał, wieszając czerwoną szmatę jako flagę. Zaproponowałem, że jako generał, będę przyjmował ich pochód. Tak bawiliśmy się dzień przed odlotem z bazy, mając nadzieję, że pogoda będzie OK i że helikopter po nas

przyleci. Na zakończenie naszego pobytu była piękna uroczystość wyłożenia wszystkich skór z naszych niedźwiedzi i zrobienia pamiątkowych fotografii. Pokot był imponujący - 6 niedźwiedzi. Siódmego kolega Jerek strzelił w ostatnim dniu. Wylot był bardzo ciężki, ponieważ sprzętu mieliśmy więcej, niż gdy przylecieliśmy i obciążenie naszego statku powietrznego było tak wielkie, że nie mogliśmy wystartować. Całą drogę się modliłem o bezpieczny powrót. Dzięki Panu Bogu tym razem nam się udało.



Adam Benedykt Bisping
inż. zootechnik, absolwent Akademii Rolniczej w Krakowie. Członek PZŁ od 1979 roku od samego początku związany z KŁ Darz Bór w Krakowie. Łowczy w KŁ Darz Bór, członek Kół: Sosnówka w Kalinie Wielkiej i Czajka w Krakowie. Delegat na Krakowski Zjazd Okręgowy, Członek Komisji Oceny Prawidłowości Odstrzału.

